ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 18 listopada 1934 r. | Nr. 48

Andrzej Mikułowski

Rozmówki pacyfistyczne

Dziwnie wygląda świat dawniejszy. Mieszkaniec Marsa, zaopatrzony w doskonałe instrumenty obserwacyjne, mógłby przyglądać się z zadziwieniem pofałdowanej ze starości skorupie naszego globu. Musi ona wyglądać jak mrowisko, pełne oszalałych mrówek, biegających opętańczo wkółko, w oparach i dymach gęsto podnoszących się z miljonów kominów i zwisających ciężko nad ziemią, wśród huku i wrzawy, w ciągłym ruchu, nieustannie, bez odpoczynku. Makabryczny zaiste obraz. Gdyby dobrze nastawić ucha, możnaby usłyszeć ciche, jak brzęczenie komara, dziecinne głosiki pacyfistów, zdzierających sobie wątłe płuca, wołających na puszczy, „dzwoniących na trwogę". Rzeczywistość biegnie koło nich, nie zatrzymując się, nie zwracając uwagi. I oni postanowili sobie nie zwracać uwagi na rzeczywistość i odbywają swoje zebrania, zjazdy i konferencje pokojowe i rozbrojeniowe, zakładają związki, zrzeszenia i organizacje, przerywając sobie tylko na czas pewien, żeby odsłużyć powinność wojskową, lub zapłacić podatek na zakup broni i amunicji, która kiedyś bardzo im się przyda. Śmieszna jest ta powaga, z którą bezrobotnego, ginącego z głodu, straszą „widmem wojny i tem, że może kiedyś zginąć humanitarnie od kuli, lub mniej humanitarnie od granatu czy gazu, ale w każdym razie szybko i dla jakiegoś celu. Pacyfiści mają pieniądze i czas, więc płacą, drukują, wydają manifest za manifestem, tom za tomem, biuletyn z jednego kongresu, z drugiego... Czytają to wszystko żydkowie, którym ciągle drżą łydki ze strachu na myśl, że ktoś mógłby na nich złamać piąte przykazanie. Nikt już nie wierzy, że to, co pomoże, ale ci, którym się dobrze dzieje, myślą sobie czasem w cichości: A nuż? Spryciarze śpią spokojnie bo wierzą, że i tak zarobią w swoim czasie na akcjach Kruppa i Schneidera. Ci znają potęgę pacyfizmu.

Jedną z takich enuncjacyj, tym razem importowanych, jest książka „pacyfisty wojującego" (co za paradoks), Beverley'a Nichols'a, p. t. „Dzwon na trwogę". (Cry Havoc), opatrzona bardzo rewelacyjną i rewolucyjną okładką p. Bermana, wyobrażającą żołnierzy w maskach gazowych, maszerujących na tle szlaku z białych krzyżów na czerwonem tle, na komendę bardzo ordynarnie wrzeszczących oficerów. Ci znowu są symbolicznie wymalowani na tle brzucha efektownego burżuja w cylindrze i z brylantowemi pierścieniami, miotającemi ogrie na dwa metry. Bardzo ładna okładka. Przed trzydziestu laty młodzi rewolucjoniści podniecaliby się patrząc na te wymowne symbole, używane przez wojujący socjalizm. Dziś już socjalizm nie wojuje i wszystko to jest takie strasznie przestarzałe.

Wszystkie argumenty autora — a rzecz jest pisana z pasją — padają dziś w przeraźliwą pustkę. Nikogo to już nie nie obchodzi. Kilka miljonów bezrobotnych demoralizuje się i zatraca wszelkie poczucie godności ludzkiej, żyjąc w strasznych warunkach, aby wreszcie zginąć z głodu: co rok setki tysięcy ludzi padają ofiarą najbardziej wyrafinowanych zbrodni; Król Aleksander, Barthou, Dolfuss, Pieracki — giną w zamachach; Hitler morduje kilkudziesięciu najbliższych towarzyszy partyjnych; powstaje Bereza Kartuska; G. P. U. wysyła tysiące ludzi na tortury na wyspy Sołowieckie, a p. Beverley Nichols krzyczy z przejęciem: „D l a c z e g o ludzie dobrowolnie wybierają chorobę wojny, gdy mogliby wybrać promienne zdrowie pokoju?" P r o m i e n n e z d r o w i e p o k o j u!

Na czem opiera swe argumenty nasz pacyfista? Tylko na stwierdzeniu, że wojna jest straszna. Obrazy narzędzi zniszczenia, obrazy ciał porozrywanych granatami — to wszystko. Podkład nietylko nawet moralny, ile estetyczny: P. Nichols nie znosi widoku krwi. Strona moralna wojny jest tylko „pocieszającą legendą" — tak bowiem nazywa autor wiersze młodego poety angielskiego, który w wojnie dopiero odnalazł swój honor, a szczęście w walce o coś większego nad rozpaczliwą szarość codziennego życia w zmaterjalizowanej Europie. Pogląd Nichols'a nietrudny do zrozumienia, jeżeli wnikniemy w punkt widzenia autora. Atakuje on naukę historji, która, ukazując obrazy wojen, budzi „żądzę krwi" w niewinnych dzieciątkach i przedstawia historję rozwoju ludzkości, jako dzieje istoty, która, przez sto miljonów lat ewolucji osiągnęła poziom nieduży, aby nagle w ciągu 50 lat następnych rozwinąć się nagle do poziomu człowieka. Człowiek bowiem dopiero w ciągu 50 ostatnich lat stał się człowiekiem, od czasu gdy nauczył się latać, pływać pod wodą i t. d. Czekamy na dalsze wywody w tym rodzaju: Czem jest myśl Sokratesa wobec wynalazku żyletki, albo wiecznego pióra? Czyż możemy się obejść bez żyletki? A jakże łatwo obejść się bez Sokratesa. Przecież ten „filozof" nie mógł nawet drukować swych dzieł! I to miał być człowiek?



B. NICHOLS W KARYKATURZE ANGIELSKIEJ
(Nichols w ogródku pacyfistycznym atakowany przez Yeats'a Brown'a; z lewej strony na pomoc biegnie H. G. Wells).

Pacyfizm wyrasta wprost z materjalizmu. Tylko ten, kto uważa, że życie, czy zdrowie ludzkie jest zbyt wielką wartością, żeby je poświęcić dla czegokolwiek, może być pacyfistą. Ale jest to materjalizm dziecinny, w powijakach, materjalizm dobrze odżywionego Anglika z czasów królowej Wiktorji, który nigdy nie widział większej ilości krwi. Dzisiejszy materjalizm sowiecki szafuje życiem ludzkiem dość rozrzutnie, poto tylko, żeby inni ludzie żyli sobie wygodnie. Jeżeli zawcześnie mówić o kryzysie materjalizmu wogóle, to w każdym razie pogrzeb wiktorjańskiego materjalizmu odbył się już dawno. Dziś życie ludzkie przestało znaczyć tak wiele. Rzeczywistość oduczyła nas tego sentymentalizmu. Szukamy trwalszych wartości.

Główne zło i przyczynę wojen widzi Nichols w patrjotyzmie, z którym rozprawia się w sposób zaiste druzgocący. Nie mamy za co kochać ojczyzny, bo to, że urodziliśmy się tu, a nie gdzieindziej, — jest kwestją czystego przypadku. — A czyż nie jest przypadkowe, że urodziliśmy się z tej właśnie matki?

Nie możesz być dumny z tego, że jesteś Anglikiem, bo to nie twoja zasługa — pisze Nichols — możesz być najwyżej wdzięczny. Widocznie, chodzi tu o wdzięczność zupełnie platoniczną, bo jakżesz inaczej może się przejawić czynna wdzięczność jak nie w obronie tych wartości, które mnie wychowały, tej kultury, w atmosferze której wyrosłem?

Dumny możesz być najwyżej z A n g l j i — z Szekspira, Shelley'a i Miltona — ale ja również dumny się czuję z Włoch i Niemiec, i Beethowena, któremu nawet więcej zawdzięczam, niż Szekspirowi. Cała książka Nichols'a jawnie przeczy temu zdaniu. Z każdego słowa wyziera Anglik, czy to wtedy gdy dowodzi, że wojna w istocie swej jest nonsensem, bo cóżby kto mógł zyskać na wojnie z A n g l j ą, czy w martwem ustosunkowaniu się do pojęć Króla i Ojczyzny, które w Anglji inną mają zupełnie wartość, niż u nas. Nichols wygląda jak koń, który uporczywie twierdzi, że jest krową, rżąc przytem radośnie. Największą wadą pacyfizmu jest to, że nigdy nie wychodzi on poza sferę abstrakcji. Abstrakcyjny dogmat panuje nad wszystkiem i dogmat fałszywy, bo sztucznie w y m y ś l o n y przez człowieka. Aby nas przekonać, Nichols przedstawia dyskusję pacyfisty-kwakra z żołnierzem kolonjalnym. Żołnierz, dla którego zagadnienie żywe, sypie argumentami, kwakier powtarza tylko wkółko: ale zabijać nie wolno. Życie, całe bogactwo natury ludzkiej, kultura, cała skomplikowana struktura moralna człowieka, wszystko to przekreśla się jednym symplicystycznie ujętym dogmatem, fałszywem tłumaczeniem przykazania, które zresztą nic nie rozwiązuje. Pacyfista chce żyć wygodnie i otula się szczelnie swym dogmatem, jak kołdrą, nie dopuszczając podmuchów świeżego powietrza rzeczywistości. Nienawiść do tych, którzy nie pozwalają mu na takie postępowanie, nie ma granic — parska, pluje i kopie, gdy się doń zbliżyć, woła nawet jak, Nichols, że z rozkoszą walczyłby w Armji Ligi Narodów przeciw patrjotom. I w nim więc budzi się duch militarny, — cały atak przerzucą się z wojny na Ojczyznę. Nie wolno ci kochać Anglji! — krzyczy. To jest niesłuszne faworytowanie, nepotyzm. Musisz jednakowo kochać wszystkie narody, nikogo nie wyróżniać. Ponieważ zaś tego nikt nie potrafi, trzeba chyba zrezygnować z miłości wogóle. Pozostaje tylko nienawiść — do nacjonalistów.

Dziwna książka. W najczarniejszych barwach maluje Ligę Narodów, twierdząc jednocześnie, że jest ona koniecznością życiową, przedstawia argumenty strony przeciwnej i nie odpowiada na nie — jak we wspomnianym wyżej djalogu między Jeats'em Brown'em a R. Mennell'em. Jedyne rzeczowe i interesujące karty to kwestja międzynarodowych fabryk broni. Ale nikt już nie broni kapitalizmu — chyba w Anglji. Łączenie z nim nacjonalizmu, to też bajeczki dla dzieci z przed trzydziestu lat. Wszystko zaś pisane z punktu widzenia angielskiego i dotyczy w większości wypadków tylko Anglji, mnóstwo argumentów pada w próżnię, list do Wells'a który służy za wstęp, jest niezrozumiały dla nieznających stosunków lokalnych. Poco to było tłumaczyć?

Sam przekład nie jest nawet taki zły. Polszczyzna nieco niepewna, parę jawnych nieporozumień (np. na str. 74 o rzędzie „plugawych sklepików, w których można kupić czapkę za 1 i pół s z y l i n g a, i g o t o w y ł u k za szylinga". Oczywiście chodzi tu o krawat, t. zw. muszkę, a nie o łuk) naogół jednak, gdyby nie treść książki, możnaby ją czytać bez zdenerwowania.

Jeats Brown napisał w odpowiedzi Nichols'owi książkę p. t. „Dogs of War", będącą obroną wojny. Czy nie należałoby jej przetłumaczyć? Jeżeli już nie z prostej uczciwości, to choćby dla interesu. Rzeczy nowe i współczesne, aktualne, zawsze lepiej pójdą od starych nudziarstw. Nawet jeżeli na okładce nie będzie burżuja.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Saga rodu Forsistów

Znacie oczywiście wszyscy tego olbrzyma-matołka wodogłowego i nieobliczalnego, który odbiera wam pracę, naprzykrza się ciągle, a niejednego już do mogiły wpędził (nie do grobu, bo nie było za co wymurować), zwanego popularnie kryzysem. Pytanie, skąd się ten potworek wziął, męczy wszystkich, a ludzie uczeni ułożyli już szereg teoryj. Wszystko to jednak jest nieciekawe i blade wobec prawdziwej historji romantycznych dziejów jego rodu, którą czuję się w obowiązku odsłonić:

W końcu średniowiecza w jednem z miast włoskich przyszła na świat wątła narazie dziewczynka o zmysłowych ustach, którą nazwano dziwacznie — Humanizm. Matka jej pochodziła ze starej rodziny, zdawna w Italji osiadłej, ojca nie znano, choć sąsiadki mówiły, że musiał to być żyd. Ale to niesprawdzona pogłoska, bo inni twierdzili, że Arab, i w dodatku filozof. Dziewczę byłoby żyło spokojnie, gdyby pewnego dnia nie spotkało na swej drodze starszego siwego pana o marzycielskich oczach, nazwiskiem Krzysztof Kolumb.

W bladych oczach rodaka ujrzała odbicie dalekich, obcych lądów, nieznanych tkanin, nowych potraw, tytoniu, węgla, ogromnych żagli i złota, mnóstwa złota. Czar ten uwiódł dziewczynę. Z dziwnego, chwilowym kaprysem, a może przeznaczeniem, spowodowanego skojarzenia urodził się chłopiec delikatny, wątły, złośliwy, ale przedziwnie piękny. Nadano mu imię — Luksus.

Gdzie był, jako dziecko, nie wiemy. Spotykamy go na dworze papieskim w Awinjonie, już jako młodzieńca. Potem odwiedza wszystkie większe dwory monarsze. Pod jego wpływem gotyckie ciemne grody zamieniają się w jasne, bogate zamki, pod jego wpływem pozostają tłumy dworzan i — kurtyzan. Ale Luksus gardzi dworem i niespodziewanie dla nikogo nawiązuje trwały romans z mieszczanką. Mieszczanka porzuca krosna, opuszcza swój mały warsztat, niszczy cechowe przepisy, puszcza się na spekulację.

Z tego to stadła pewnego dnia (którego nietylko roku, ale nawet wieku, trudno określić) przychodzi na świat najpotężniejszy przedstawiciel rodu, którego kronikę romantyczną tu podajemy. Nie wiemy nawet, czy urodził się w Madrycie, czy w Medjolanie, czy w Amsterdamie. Nadano mu imię — Kapitalizm.

Chłopak łączył w sobie wybitne cechy wszystkich przodków. Jak dziadek Kolumb miał żyłkę awanturniczą i zamiłowanie do dalekich krajów i zamorskich podróży. Jak babka Humanizm niewierzący był i zmysłowy. Odziedziczył po ojcu siłę zdobywczą i namiętność do zysków. Po matce mieszczance wziął zamiłowanie do zachowania pozorów i realizm życiowy.

Jako młody człowiek jest wspaniały i imponujący. Kupuje, sprzedaje niszczy, buduje. Dręczy ludzi pracą ponad siły, ale dobrze płaci. Pozbawia pracy jednych, daje ją drugim. Wszędzie jest sam, działa osobiście

Pierwszy to z tego rodu, który nie szuka przelotnych związków, lecz w myśl rozsądku i prawa zawiera dozgonny związek. I to nie z księżniczką, ani córką bogacza, ale z dziewczyną skromną, lecz wyjątkowo inteligentną, mającą opinję nieposzlakowanej cnoty. Z dziewczyną ubogą, lecz skrzętną, imieniem Ekonomja. O jakżeż mądry był Kapitalizm! Żona stała się jego chodzącą chwałą. W każdej rozmowie, w każdem odezwaniu się powoływała się na męża, wskazywała jego zalety. Wywodziła nawet, iż pochodzi w prostej linji od samej Własności Prywatnej, że tylko na nim opiera się naród i państwo. A ludzie wierzyli pięknej pani.

Autorytet jej wzrósł jeszcze, gdy urodziła małżonkowi syna. Chłopak był krzykliwy i dziwnie czerwony na gębie, nazywał się Kolektywizm i był jakby doskonalszem wydaniem rodzica. Bardziej był popędliwy i bardziej konsekwentny, ale ojciec wiedział, że poprowadzi interesy w tym samym kierunku, że będzie przedłużeniem jego życia, że założy nowe fabryki, że jeszcze tysiące ludzi podporządkuje interesom rodziny, że choć wstydzi się trochę babki mieszczanki, lecz myśli tak, jak jego inteligentna matka. Słowem Kapitalizm mógł mieć spokojną starość.

I nagle uderzył cios: Pewnego dnia Ekonomja zbliżyła się do męża i ze zdenerwowaniem coś mu zaczęła szeptać.

— Niemożliwe! — wykrzyknął Kapitalizm z przerażeniem.

— A jednak tak jest.

— To są kpiny. W moim wieku, to niemożliwe.

— Ale...

— Powiedz odrazu, kto?

— Ależ ty, kochanie.

— Nie kłam. Już wiem, to ten Wojna.

— Ależ ja go nie znałam przed 1914, a to się dawniej zaczęło.

— Więc Protekcjonizm. Tak, to napewno on!

— Kiedy on jest notorycznie niezdolny.

Kapitalizm nie uwierzył, aż dopóki nie ujrzał drugiego syna. Był to niewątpliwie jego syn. Wyglądał jak potworna karykatura ojca. Miał również długie ręce i ruchliwy nos, ale wypukłe czoło i rozchylone usta głuptaka świadczyły o jego nienormalności.

I rósł, jakże szybko rósł! Sprawiono mu kołyskę z żelaznych praw i — rozsadził ją... Nie wiedziano, jak go ochrzcić. I wówczas matka z głębokim bólem nazwała go ironicznie Kryzysem. Tak już zostało.

Dziś obserwować można często, jak w jednym z pokojów zgromadzona rodzina: i papa Kapitalizm, i mama Ekonomja, i brat Kolektywizm z przerażeniem i troską patrzą na olbrzymiego półgłówka, który bawi się darciem na strzępki cennych dewiz, akcyj, banknotów i papierów procentowych. Chwilami rozlega się po całym domu przeraźliwy chichot zwyrodnialca.

Listy do redakcji

Data ślubu rodziców Sienkiewicza

W związku z niedzielnym reportażem z Woli Okrzejskiej, zatytułowanym: „Kraj lat dziecinnych Sienkiewicza", a który pojawił się w nr. 47 literackiego dodatku „ABC" z dnia 11 listopada r. b., niniejszym uprzejmie proszę o umieszczenie w poczytnem piśmie pańskiem, tych kilku słów koniecznego sprostowania.

Nie jest sporna data ślubu Józefa Sienkiewicza i Stefanji z Cieciszowskich, jak to sobie mylnie wyobraża autor reportażu, p. M. J. Chudek. Ślub rodziców Henryka Sienkiewicza odbył się dnia 9 czerwca **1843 r.**, co stwierdza nietylko akt urzędowy, ale i ówczesna korespondencja rodzinna. Między innemi w tomie II Listów Joachima Lelewela do rodzenstwa (wyd. w Poznaniu nakł. Żupańskiego 1879 r.) na str. 189 jest wiadomość o ślubie Sienkiewiczów — list zaś nosi datę 3 października **1843 r.** A zatem wszystkie związane z tą sprawą dalsze wnioski autora upadają.

Z poważaniem

Dr. Irena Friemannowa

Miłosz Gembarzewski

Biały Car

Obraz sceniczny, fragment z poematu dramatycznego p. t. „Wilanów"

Poranek o wschodzie słońca, zimą, na Kremlu. Wielokątna sala; czarny orzeł dwugłowy, ikona z świeczką, stół, krzesła, księgi, mapy; za oknami, kopuły i baszty — piękny mróz. wszystko w śniegu.

Generał Lefort wchodzi szybko, żwawo strząsa śnieg i zwraca się do gen. Gordona, który przegląda akty.

LEFORT:
Ciężka zima na Moskwie. Iwan Kolokoł
Swem zapianiem pobożnem śnieg zrzuci z soboru.
Parbleu! Ta nasza służba. A słowo honoru...

GŁOS komendy za oknami:
Smirno stać!

LEFORT (ciszej):
Że tu, w Rosji, to gnojowy doł.
Car każe najemnikom szwajcarskim, czy szkockim...

GORDON:
O yes.

LEFORT:
Przeorać, żeby nauczyć poloru
Bojarów. Lepiej w Polsze cudzoziemcom bywa:
Błaznują tam, i sami — en avant... arrière — tańce [wiodą.

GŁOS komendy za oknami:
Wpieriood... Marsz!

LEFORT:
Rossija nam jeno gospodą,
Pełną ognia... ze złota.

GORDON:
O yes. — Co to znaczy?

LEFORT (ścicha, z naciskiem):
Strzelecki prykaz buntem chce cała mordować.
Bojar Sokownin, Cykler na władzę sobaczy.
Ja dowody mam w ręku. Tajemnicę chować.
O, tu idą te czorty: Sokownin z Cyklerem.
Panie Gordon, baw gości, nim wezmą ich kaci.
Ja — biegnę z raportem szczerem...

GORDON:
O yes! Ale cesarz?

LEFORT (już wychodząc, na lewo):
Cesarz: zapłaci.

SOKOWNIN (wszedł sprawa, z Cyklerem):
Czort na czorcie i czortem gania.

CYKLER
(ponury, ociężały, przeciwstawnie do Sokownina):
Djabla pora.

SOKOWNIN:
Preobrażenców z rana do wieczora
Młody car Piotr musztruje. A z cara Iwana,
Choć to i brat, i car — a prosto: kukła malowana.

GORDON (z głębi):
O yes!

SOKOWNIN:
O, Boże! (Do Cyklera, uspokojony) Gordon. Pan [wiecznie się trudzi.
Z was już bojar zasobny, jak u ruskich ludzi,
Byłby, gdyby cenili wasz trud należycie.
Ale od Piotra nagród nie ujrzycie.

GORDON:
O yes.

SOKOWNIN:
Na dworze Sofii, siostry cara,
To bywały rozkosze, igry. wodki czara.
Ot, carewna lubiła generałów pląsy.
Lepiej było.

CYKLER (rozważnie):
Powrócić to może.

SOKOWNIN:
Nu, dziś dąsy,
A jutro — gniew i rozruch sam wznieci Piotrusza,
Bo on młody, a silny car. Chciałaby dusza,
Żeby to tak, jak w Polsze. Choć nie z obyczaju.
Bo teremy i broda być muszą; i wiara
Prawosławna, lecz żeby car słuchał bojara,
Jako polski król — sejmu. Lub niech car w nahaju
Ma pomoc, po staremu, iwanowsku. Przytem,
Grafie Gordon, nam i wam dobrze będzie z mytem...
(czyni gest obrazujący) Ręka rękę... —

CYKLER (szczerze):
Kij w wodę. —

GORDON (obojętnie):
All right. —

SOKOWNIN:
Po staremu. —
Car i dla was jest ciężki. Prawda? Szakłowity
I Miedwiediew z Sylwestrem w kaźni jest zabity.
Nu... Uwidzim... Raz może...
(Przerywa i zwraca się ku drzwiom, otwierającym się zwolna. Wchodzi kniaź Romodanowski; pachołęta wsuwają krzesło, na którem siedzi chory car Iwan, brat Piotra; wchodzi lekarz - cudzoziemiec. za nim Ewdoksya, żona Piotra, damy dworu)

CAR IWAN (głosem drżącym, przerywanym):
Czy po-go-da będzie,
Choć jutro nie kraś-niej-sza?
Boli. — Zimno wszę-dzie.

SOKOWNIN (złożywszy pokłony):
O, miłościwy caru, Iwanie. Dla cara
Piotra, to jedno: burza. pogoda — wciąż mustra.

CAR IWAN:
On młody... z dru-giej matki.

CYKLER (na stronie do Gordona):
To detyna stara.

CAR IWAN (do lekarza):
Znasz skazkę, co o burzach pisał Zara-tustra?
Hi, hi, hi! (śmieje się) Jakie dziwne imię... Sss... [Ach, boli.

LEKARZ (uroczyście):
Pedogra.

SOKOWNIN (do Cyklera, na stronie):
Mieć takiego cara, każdy woli.

ROMODANOWSKI:
(słuchał zdala obojętnie, teraz podchodzi):
Carowie to nietylko bojarzynów lustra
Zwierciadlne.

SOKOWNIN:
I dlatego Ruś nynie daleka
Od prawych ruskich; chociaż, nie smutku się [czeka.

ROMODANOWSKI:
O, Rossija nie smutna. Pod cerkwi kopułą,
Za carskiemi wrotami, miała gniazdo ptasie;
Była skazką naiwną, ponurą, złą, czułą,
Barbarzyńską byliną na ikonostasie;
A tylko ponad żądzą. wylęgniętą z czadu,
Miała Chrystosa z Cargradu.
Wystarczyło — dopóki nie przyszedł junosza
Carewicz, sławny mały, z serduszkiem znachora;
I w szronny dzień zimowy wziął łampadę z wora,
Stanął u zamkowego Kremlinu aprosza;
I cudotwórnie zświetlał, na zawsze, choć raz,
Każdej dziureczki oczko, piasku ziarnko, krople
W hafty znamion przenikłe, zatwardziałe w sople.
I czary czynił, aż się ruszył człek i płaz.
Z chramu wyszła bylina, lud, ikonostas.
Śmiesznym a świętym cudem szedł z północy też,
I z południa, wzbudzony czerw lichy, kwiat, zwierz.
Bo prawdą baśni były uroki — ukazy
Z rodnej duszy wyjęte bez cudzych plam zmazy;
Ożywiły martwicę; kazały lawinie
Paść do stóp sołdaciszce, moskiewskiej detynie,
By łacniej szedł; kazały, żeby w opar wód
Wiatry legły, wskazując dla pochodu bród.
Klnę się, że prawda! Naród poszedł, gdzie car [wiedzie
Na morze i na zorze północne i w Krym;
Tam — gdzie góra wypuszcza, jakby z fajki dym.
Gdzie lis niebieski białe ukochał niedźwiedzie;
Gdzie cudo - judo - ryba ma cerkiew na głowie,
Syrena białem ciałem płynie przez bezwodne
Pustynie, wiecznie ciemne, drżą w nich śpiewy [sowie
Nad jasnością południ, mżących kwiaty chłodne.
Klnę się Bogiem, że wino tam nie czerni krwi;
Trepaka życie pląsa.

CAR IWAN (rozmarzony):
Niech się życie śni.

ROMODANOWSKI:
Nie! W tą spokojną gnuśność wchodzi carska rota.
Marszowy krok — uderzenia młota.
Święty Georgij wychyla się z sztandaru
I błogosławi caru.

SOKOWNIN (niezadowolony):
O, już: „wino nie czerni" — chwycił za daleko.
A „góra lulkę kurzy" — przesolił. A wódki
Niema? Za mało: białe syreny — szelmutki.
I trepaka, już zaraz.

ROMODANOWSKI (drwiąco):
Bezgłowy kaleko.

SOKOWNIN (w gniewie):
A?! Wy, Romodanowski, dobry ruski lud
Baśniami stumanili!

ROMODANOWSKI:
Dobry ruski lud
Carom tylko zostawił pomyślenia trud.

SOKOWNIN:
A wy, Romodanowski, zawsze!...

ROMODANOWSKI (wskazuje okno i ku drzwiom):
Słuchaj... już...

SOKOWNIN:
Nu, jeżeli czarownik taki jest car Piotr,
To, nie wińcie, a prosto jest on czorta kmotr.
Chce im się morza, zórz;
Białe lisy, niebieskie niedźwiedzie.
A bojar — bez brody, bez Dumy... w biedzie.
Ten czort...

ROMODANOWSKI (przestrzegając):
Tuż... tuż...

CAR PIOTR
(wszedł gwałtownie; jeszcze odwrócony, mówi do Łopuchina):
Żeby mi ordynanse wyszły we trzy migi!

ŁOPUCHIN (z głębi, za drzwiami):
Rozkazano — Zdziałano!

CAR PIOTR (do idącego za sobą Lefort'a):
Prawdziwie, obligi
Dłużny wam jestem dzisiaj, generał Lefort.
(zwracając się do cara Iwana):
A, braciszek. Iwanie...

CAR IWAN (uściski, pocałunki):
Piotrusza.

CAR PIOTR:
Mój kor
Preobrażeńców gotów.

JAGUŻYŃSKI (który wszedł za Lefort'em):
Słowno tak's.

ROMODANOWSKI (zachwycony):
Car jasny.

CAR PIOTR
(do nisko kłaniającego się Sokownina):
A wy, Sokownin, Cykler, weźcie skrypt mój własny
Do kapitana, mego szwagra, Łopuchina.
(oddaje kopertę Cyklerowi, zwraca się do brata i żony):
Iwan... Ot, i Ewdoksya. Słuchajcie, nowina
Przedziwna, co przyśpieszy Rossii odmianę.

CAR IWAN
(niechętnie. gdy Sokownin, Cykler szepczą na uboczu):
Ciągle odmianę.

CAR PIOTR:
Oto w mórz i w rzeki pianę
Flot ruski wpłynie. W siole Izmajłowskiem skryty
Był jakowyś żaglowy stateczek, zaszyty
W trzciny i w pluchy błota. Kniaź Romodanowski,
Druhu, będziem na Białem i na Czarnem morzu.

ROMODANOWSKI (w ekstazie):
Na oceanie!

CAR PIOTR:
Dalej, niż sobór Pokrowski,
Za finlandzką granicą i na Zaporożu.

ROMODANOWSKI:
Na drugiej stronie ziemi.

CAR IWAN:
Strach.

CAR PIOTR:
Jej Bogu! Żeńskie
Strachy to dla Iwana. A w tiurkskiem pomorzu
I w Archangielsku będą większe, niżli wieńskie
Sobieskiego zwycięstwa.

CAR IWAN:
Piotrusza. Krew, wojna...

CAR PIOTR (groźnie):
Iwan. — A ty, Ewdoksya, możesz być spokojna.
(Carowa i damy przerażone):
Wasz los żeński nie bitwa, ani polityka:
Choć teremy kobiece otwieram i każę
Tańcować na asamblach. Ale potraw warzę,
Kuchnię, dzieci i cerkiew, kto nie chce znać [wnyka —

CAROWA:
Ach!

CAR PIOTR (kończąc):
To znać musi.

CAROWA (pokornie):
Piotruszka.

SOKOWNIN
(który, zostawszy z Cyklerem, przeczytał list carski):
Uch!

CAR PIOTR (obracając się ku nim):
Kto czort wykrzyka?
Wy jeszcze tu?

SOKOWNIN i CYKLER (padając na kolana):
Uch! Łaski!

CAR PIOTR:
Ha! Pismo czytali,
Gdzie na was wyrok śmierci był za bunty głupie.
To pismo mieli oddać sami! Jak śnieg biali.
Przeczytacie do końca: na wisielic słupie!

SOKOWNIN i CYKLER:
Łaski!

CAR PIOTR:
Niema! Czytałeś to, sobacza mać!
Gwardejcy, tu!! (wchodzą żołnierze). Teraz... [smirno stać!
Buntowszczyki. Wy chcieli cara związać radą
Bojarską. Bo ja, car, wam do rządów zawadą.
Wy nie imperatora, a dumy, senata
Chcieli... i kraść. Rebelia! A to wam zapłata!
(uderza szpicrutą).

SOKOWNIN:
Pomiłuj... O!

CYKLER:
Pomiłuj!...

CAR PIOTR:
Won! Na eszafoty
Poszli, won! a w gardziele wlać im rubel złoty.
(Łopuchin wyprowadza więźniów; oficer Jelizarjew zostaje z resztą żołnierzów).
Wy tu ze mną gwardejska ulubiona wiara.

GWARDZIŚCI (z wybuchem, kołysząco):
Ży-cie za ca-ra!!

ŁOPUCHIN (komenderując przy wyjściu):
Marsz! Marsz!
(Wychodzi. W głębi na chwilę ukazuje się paru duchownych).

CAR PIOTR:
A sukinsyny. Był pop z nimi w zmowie.
Jeromonach niegodny. Stuknę go po głowie, —
A ty, chociaż z Polaków, grafie Jagużyński,
Ale już nie z mazurka, szumki - dumki, śluznych [płaks:
Po rusku zerwał wianek nie jeden dziewczyński.

JAGUŻYŃSKI (znacząco, czelnie):
Słowno tak's.

CAR PIOTR:
I rowno, wierno: strojsia! w prawo — w lewo — [zwroty
(Oficerowie, żołnierze, obracają się, na komendę).
Cała Ruś — w eskadrony, roty. —
Rossija, na kolana. Niech mi nie przeszkadza
Gad żaden, bo w narodzie, w woli ludzkiej skrętach
Gdy Bóg Stwórca zostawił lud w grzechu zamętach
Między niebem i piekłem ma swe miejsce—władza.
Bóg jest — bo stworzył. Ale dał spaczoną wolę
Człowieczeństwu, więc władza ujarzmia swawolę.
(Do kamerhera Naryszkina, który wszedł, stanął służbiście):
Mów.

NARYSZKIN:
Melduję pokornie, najjaśniejszy panie,
Samodzierżawny całej Ro...

CAR PIOTR (nagląc):
Mów, mów...

NARYSZKIN:
Przysłanie
Czołobitnych kozackich z Siczy deputatów.

CAR PIOTR (rozśmieszony):
Ho, ho... Biedneńkich, co są w niewoli Sarmatów?

NARYSZKIN:
Najpokorniej, poddaniej i najuniżeniej, —
Proszą.

CAR PIOTR:
Ho, ho... Jak zagram, niech śpiewają cieniej,
Niźli dotąd bywało. Nu, wprowadź tę swołocz.
Czerń harda. ale przez nich mieć będę Pawołocz.
Biała Cerkiew nie Polsze także, tylko Rusi.

LEFORT, GORDON, JELIZARJEW (razem):
Słowno tak's!

CAR PIOTR:
A Sicz — niechaj zaraza wydusi.

LEFORT, GORDON, JELIZARJEW (razem):
Słowno tak's.
(Wszedł Naryszkin. wiodąc Iskrę i Barabasza kozaków).

BARABASZ (pokłonnie):
Najpokorniej, wielce uniżenie...

NARYSZKIN (podpowiadając):
Najpoddaniej.

BARABASZ:
Poddaniej, życie nasze, mienie,
Tobie, car najjaśniejszy, imperator Rusi...

NARYSZKIN:
Wszechrossii kniaź...

BARABASZ:
Kniaź...

CAR PIOTR (gwałtownie do Naryszkina):
Dzisiaj kamerher ich musi
Nauczyć moich wszystkich tytułów dokładnie. —
(łaskawie)
Wstańcie teraz, detyny. Nu, mołodcy, ładnie.
Wy z polskiego zaboru?

ESAUŁ KOZACKI:
Lachom — na pohybel!

NARYSZKIN:
Ciszej!...

CAR PIOTR (rozbawiony):
A to esauł ryczy, jak wulkan, Mont - Gibel. —
Nu?

BARABASZ:
Od Palija my, z przeddnieprskiej ziemi.
Palij, hetman nakaźny, wedle rozkazania
Carskiego, sia przed królem Sobieskim zasłania
Swawolnością mołojców, co szaszkami swemi
Dobyli Białogrodu, Soroków, Tehyni.
Z czego ataman Iskra relacyą uczyni.

ISKRA:
Siedem osad tatarskich, dwadzieścia trzy działa
Dobyte. Pod Akmeczet pijdém, gdyby chciała
Carskiego rozkazania wspomagać nas siła.

CAR PIOTR:
Ot, i dobrze. Relacja ta barzo nam miła.
Tym sposobem kozaki różnią Tatar z Lachem.

BARABASZ:
Hetman Palij, nakaźny, dowodem nieblahem
Zdobył łaskę polskiego króla, zaufanie;
Przez synoczka swojego w zakład mu oddanie.
A hetman Palij wierny dla ruskich cesarzy,
I jeśli car swobodą kozaków obdarzy...

CAR PIOTR:
Dość. Wy bądźcie kontentni, dowolni, że w służbie
Naszej, dla dobra jednej niepodzielnej matki
Rossii prawosławnej, co w jedynej drużbie
Ogarnia Słowiańszczyznę całą. Więc ostatki,
Co macie — nieście wszystko na ołtarz usłużnie
Jednej Cerkwi.

ISKRA:
Lecz ludy słowiańskie są różnie...

NARYSZKIN:
Mołczać!

CAR PIOTR:
Ty, rowno, wierno: strojsia! w prawo — w lewo — [w marsza tony.
Carstwo nasze: roty, eskadrony!
(Oficerowie, gwardziści oraz kozacy, ujęci za ramiona przez żołnierzów, przybierają nakazane postawy).

NARYSZKIN (gdy Barabasz otwiera usta):
Mołczać!

CAR PIOTR:
Ponad Słowiaństwo: Ruś Wielka i Mała...

BARABASZ (nieśmiało):
Ukraina...

CAR PIOTR:
Gdzie?

NARYSZKIN (gdy Iskra otwiera usta):
Mołczać!

CAR PIOTR:
Won! (Naryszkin z kozakami wychodzi) Wataha [cała
Kozactwa — godna tiurmy. Jakby w Wilanowie,
Tak śmią gadać na Kremlu. A i was, panowie
Lefort, Gordon, pouczę, że tu cudzoziemiec
Nie lepszy od ruskiego człowieka. Włoch, Niemiec
Swoje, co umie, da nam; potem — won, do czorta.
Rossii starczy ruskich gwardejców eskorta. —
Swoje drzewo — strukturę choć z Paryża brać.
Systema holenderska — prawosławna wiara.
I car z wami!

OFICEROWIE, ŻOŁNIERZE
(z wybuchem, kołysząco):
Ży-cie za ca-ra!!

CAR PIOTR (do cywilnych):
Smirno stać.
(Damy i urzędnicy stają na baczność; ręce „po szwam". Car z uśmiechem zwraca się ku żołnierzom. Jest już jasny dzień zimowy).

Adolf Nowaczyński

Konferencja o dedykacjach

DON GIOVANNI

Don Giovanni Lorentowicz zajął się niedawno w jednym ze swoich na nowo świetnych, na nowo młodych, na nowo niezmiernie interesujących, a niekiedy rewelacyjnych feljetonów literackich, intymną sprawę koleżeńskich książkowych dedykacyj. Temat niejako na marginesie lite[illegible], a jednakże dla badaczów i smakoszów wcale ponętny, bo odsłaniający zlekka kulisy piśmiennictwa i wzajemne ustosunkowania gwiazdorów, uczuciowe filjacje i orjentacyjne me[illegible] czoło[illegible] reprezentantów życia duchowego i artystycznego ostatnich generacyj.

Don Giovanni, jako swego czasu gromowładny Arystarch, recenzent i krytyk decydujący niekiedy o losie autora lub książki, dostawał od braci pisarskiej dzieła nowe obligatoryjnie, z dedykacjami, które w pewnej mierze bywały też i czołobitnjami i miały na celu nietylko oświadczyny miłości, czy przyjaźni, ale poniekąd także i... c a p t a n d a m b e n e v o l e n t i a m. Atoli jako indywidualność zrównoważona, człowiek stateczny, spokojny i pokojowo do świata i ludzi „nastawiony", na całej przestrzeni swej działalności pisarskiej w przykładnej zgodzie z bliźnimi żyjący, mógł dostawać i kolekcjonować dedykacje od całego świata piszącego i jego wybitnych jednostek bez względu na ich orjentacje i przynależności socjalne, polityczne, religijne, towarzyskie. Don Giovanniego kochali i nadal kochamy wszyscy, ceniąc w nim zarówno najwyższy poziom europejskiej wiedzy i umiejętności opinjodawczej, jak i wzorową rygorystyczną sumienność oraz niewyczerpane zasoby dobrej woli, altruizmu i wyrozumiałości szczególnie dla wszystkich nowych i początkujących.

Toteż i w dedykacjach dzieł ofiarowywanych L o r e n z o I l M a g n i f i c o musiała istnieć zawsze ciągłość, niezmienność, harmonja, tradycyjność, tożsamość a sczasem nawet pewna... monotonja. Ciż sami ludzie z tymi samymi mniej lub więcej zawsze strzelistymi superlatywami i afektami. Ten sam pisarz przesyłał swe debiutanckie ale tęgie pierwociny w r. 1904 i sam swój s t a n d a r d - w o r k w 1914 i ten sam swoje autoepigońskie okropieństwa, zmanjerowaństwa i poronidła w r. 1934 (Sieroszewski. Berent, Nowaczyński). Nie było w tem kolekcjonowaniu klejnotów dedykacyjnych żadnych niespodzianek, pertuberancyj, przerw, perypetyj, zerwań ciągłości. Złoto afektów i sentymentów dedykacyjnych do skarbca zawsze młodzieńczego Nestora krytyki Młodej Polski wpływało niekończącą się i niczem niezatamowaną, równomierną, błyszczącą strugą. Z olimpijskim spokojem i ciepłą tolerancją (dla ludzkiej próżności) przyjmował Lorent pisane precjoza, stawiając je zbożnie i pietystycznie na coraz to wydłużających się półkach swego „Petroniuszowego" księgozbioru, w którego polskim departamencie nieliczne dzieła rzetelnych talentów nietylko sąsiadowały, ale wprost musiały być przyduszone i zatłamszone hyperprodukcją miernot i grubymi tomiskami tandekadentów (tandeta - Kaden - dekadencja).

JAK SOBIE POŚCIELESZ...

Całkiem inaczej uformował się, bo musiał się uformować skarbiec takichże d e d i c a t i o n e s u pisarza, który nic nie ma wspólnego z pacyfizmem i z pacyfikacją, bardzo mało ze zrównoważeniem, a nic z dostojnością akademicką czy senatorską. Toteż jakby w przewidywaniu nieco bezdomnej i ieco wygnańczej jesieni żywota („jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz") przedewszystkiem nie kolekcjonował taki Happy-endek żadnego księgozbioru. Gdy się różnemi czasy zgromadził zbyt wielki zwał czy zator nowości, to w latach względnej p r o s p e r i t y szły książki pakami, do różnych bibljotek, za co kwitujące dziękczynne akta i arkusze kiedyś będą mogli cytować wybielający, rehabilitujący (się na uniwersytetach) poloniści. W latach biedy sprzedawało się „na pniu" bywało, że nowalje i nierozcięte, czyli nierozdziewiczone (1900 — 1905), (1914 — 1918).

Książki z dedykacjami spotykał całkiem inny los. Przeważnie i w imponującym procencie bywały czytywane, a co wartościowsze opatrywane glossami na marginesie z zachwytami i obelżywościami, czasami równocześnie („Wyzwolenie", „Ozimina", „Rok 1794"). Potem nas tępował proceder zgoła barbarzyński (w oczach bibljofilów). Kartki z dedykacjami zostawały wyrywane, względnie wyszarpnięte, poczem składane pietystycznie w drogocennym pudle (szkatule) może nietyle z różanego drzewa, ile po wedlowskich czekoladkach. Książki zaś szły w rodzinę, w znajomków, w inteligencję (łakomą nowalji), w „naród", w bibljoteki, a tylko pewną część rozdrapywano czyli „wypożyczano na jedną noc" (rano odeślę ci konnym posłańcem...). W ten sposób i wilk syty był i koza cała stała, czyli nie chowało się światła pod korcem, czyli zawsze dożywało się tej pociechy, że książeczki szły i pod strzechy...

Zakładanie przez literatów prywatnych bibljotek, to jest przygodnych wypożyczalni książek, uważa się za średniowieczne, za filisterstwo i trywjalny przeżytek i szablon. Mówi rosyjskie przysłowie o Don Jouanach: „a taki wsiech" oczywiście nie przeczytasz . Do trumny książek się nie zabiera. Dajże więc nażywać się, narozkoszować także i rodakom.

Czy zasię można wrodzone tumanostwo, beztalencie i ciężkomyślność wyleczyć nawet olbrzymim własnym księgozbiorem? Miram dociułał się bibljoteki omal Aleksandryjskiej i pomimo tego wziął raz czarny krawat do fraka, żeby zaimponować nim Prezydentowi Francji Lebrunowi, podczas gdy lada brunet u nas, do prezesa Bruna wybierając się na obiad, bierze czarny ale do smoka, no i nie „trzyma mowy"! Do djabła więc przydało mu się dziesięć tysięcy tomów doborowszych, niż u André Gide'a? Książki należy czytać i to niekoniecznie od deski do deski; zbierać zaś i kolekcjonować należy raczej głupstwa ludzkie, doświadczenia, no, a przedewszystkiem za suszone kwiaty, dokumenty, listy, agrafki, spinki z lewej ręki, biżuterje starożytne no a w każdym razie d e d y k a c j e. I trzymać je w suchem miejscu pod zamknięciem...

CO DALEJ, STARY CZŁOWIEKU?

I oto kiedy przyjdą ciężkie czasy i jeszcze cięższe chwile, kiedy przychodzi moment na zapytanie siebie samego: i co dalej, stary człowieku? Kiedy wszystko się spiknie na osaczonego, kiedy zawodzi to i owo i tamto, kiedy trzeszczy lód serc rodaczych pod nogami, kiedy przygniatą do ściany i dusi plebańska kasa z Grzybowskiego Placu, kiedy za trzydzieści lat mozołu publicystycznego piętnaście premjer i t. p. etc. odpłaca ci miasto, Arystofajnesie... kuklą w szopce.. no i kiedy wogóle djabli już człowieka biorą z pasji... (na rogi) a aniołowie zaczynają kusić do opuszczenia padołu..., wtedy dobrze jest dla pocieszenia, dla konsolacji, dla pokrzepienia serc, dla zmasowania karku, dla sprostowania indywidualności pogrzebać poszperać w:

„THE GOLDEN BOOK OF DEDICATIONS".

Gruby to foljał, niczem Biblja Szaroszpatacka lub Kancjonał Gregorjański względnie Psałterz Dawidowy albo Kodeks Bechama. W w nim powlepiane właśnie i listy co najważniejsze i dedykacje jakie ocalały n a u f r a g i o e r u p t a. Dla jakiegoś grafologa w drugiej połowie XX-go wieku „skarb to nieprzebrany". Rzecz prosta i sprawa jasna, że nieboszczycy już przeważają w przygniatającym procencie, aczkolwiek tego materjału epistolarnego (od nieboszczyków) sporo już powyławiano i przeszło i do pana Dembego, do Muzeum. Ale i z tego co pozostało jeszcze się kiedyś pożywi i to nie jeden polonista. Wielcy są i średni i mali i tacy, których nazwiska dziś już nic nikomu nie mówią. Spasowicz i Korzon na przedzie, Orzeszkowa i Konopnicka, Gawalewicz i Gomulicki, A. Szymański, Sygietyński, J. Matuszewski, Jodko-Narkiewicz, Mendelsohn, Feldman, Wierzbowski, Tokarzewicz-Hodi, Sarnecki, J. A. Święcicki, J. Kotarbiński, W. Rapacki, Wł. Szymanowski, Czesław Jankowski, Korwin Milewski...

Potem idą współcześniejsi: Wyspiański i Weyssenhoff, Żeremiasz i St. Brzorowski, Reymont, Przybysz, Perz, Rydel, Słoński, Miciński, Orkan, Or-Ot, Kasprowicz, Lemański, Ar. Górski, Niemojewski, Rabski, Zapolska...

Potem długim, długim szeregiem pomniejsi: Krechowiecki, Bukowiński, Dębicki, Lack, Ignacy Grabowski, Nalepiński, Ejsmond, Żyznowski, Pik, Rossowski, Żuławski, Małaczewski i wielu wielu innych. Już się mieszają w pamięci, ci co kilkanaście i ci co kilka lat temu odeszli.

Ale nie o nich listach i dedykacjach ma się tu mówić. To materjał, jak się rzekło może dla historyka literatury nie dla czytelnika dzisiejszego. Tu rzecz idzie o współczesnych o żyjących, żywych, żywotnych, żeby ich nieco rozruszać i ubawić a sobie przy okazji przypomnieć złoty wiek (a u r e a a e t a s) harmonji symbiozy, zgody i pogody.

Tak, to tak, mili współcześnicy i ty „młodzieży kochana". Byli czasy, byli, ale się i zbyli, N e s s u n m a g g i o r d o l o r e n i l r e c o r d a r s i d i t e m p o f e l i c e, n e l l a m i s e r i a (to z Dantego!). A drugie także po włosku: A n c h i o s o n o p i t t o r e, czyli było się kiedyś „kimsi czemsi", zanim się w prasę popadło i rzydożerstwem nałogowem zajęło.

DEDYKACJE

Najdłuższe dedykacje, najwymowniejsze, najgorętsze superlatywy, wypisywali na swych licznych opusach właśnie... oni, zawsze Oni, p a r e x e m p l e a to Beimonte a to Jellenta, czasami na całą stronę, czasami wierszem... Z politycznych postaci Wł. Studnicki dwukrotnie złośliwie T. Ulanowski kłótliwie. Koledzy autorzy Krzywoszewski, Wroczyński, Jan Adolf, Winawerek, Kiedrzyński wielokrotnie raz ciepło raz chłodniej ale stale. Niesłusznie bagatelizowani Józef Jankowski, Jerzy Bandrowski, czy Maciej Szukiewicz gorąco i wielosłownie. Germanek na każdej opowiastce a najpiękniej na swej pięknej „Lilith". Z teatralnych tuzów serdecznie a skromnie Lulek (Szyllerek), z namiętnym afektem i czołobitnią na jedynem swem dziele dramatycznem („Pankracy — August Pierwszy" sic!) l'Amico Arnoldo Szyfman, dziś generalny intendent nadworny Teatrów J. K. Mości stol. m. Warszawy.

Od politycznych przyjaciół (od r. 1914) dedykacje raczej wstrzemięźliwsze, chłodniejsze, niekiedy sztywne (prof. Ig. Chrzanowski). Cieplejsze: Szelągowski, Kopczyński, Jabłonowski, Wasilewski. Po jednej ale bardzo strzelistej od Wasylewskiego i od Miłaszewskiego. Z dowcipnemi docinkami nadal niedoceniony, przemilczany Bartkiewicz (z Brwinowa dziedzic), a od Grzymality zawsze z kapitalnemi monitami i apostrofami:

„Czytając Samosęki pomnij kochany Ado, że i Ty kiedyś będziesz miał sklerozę mózgu, a wszystko zrozumiesz" (10. XII. 23).

Z endekoidalnych lub ex-endekujących publicystów (sanacyjonalistów) kilkakrotnie w dawnych latach słowa gorącego uznanie od An. Potockiego, od Smogorza, a od Korabia zabawne dowcipuszki na egzemplarzu jedynej komedji, jaką popełnił, t. j. „Lawiny" (rok 1913).

Od Świętochowskiego dedykacja jedna, ale ważąca tyle co na drugiej szali położonych s t o (100), względnie s t o s.

Ossendowski Antoni Ferdynand... dedykacyj pięć z różnych czasów, zawsze zacne, przyjacielskie, lojalne, tem drogocenniejsze, że od pisarza, którego czyta cały świat, a nietylko Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Marszałkowska i Nalewki („świat" czytelników Kadena).

Kazimierz Tetmajer trzy razy na trzech książkach dosłownie zawsze to samo: „z serdecznym uściskiem ręki", podobnie jak Przybysz na dwóch także t o s a m o: dwuznacznie „Kocham Cię, jak Cię kochałem", podczas, gdy na swych innych opusach z wybuchami serdeczności i entuzjazmu podobnie ekstatycznymi, jakimi każdą swą książkę zdobił T. Miciński. Autor „Wiosny i Wina" (8. 12. 1919) „Jedynemu na świecie". Iłłakowiczówna kilka pięknych słów na „Połowie" (27. XI. 1925). Goetelek na „Indjach" kostycznie a mile: „z pierwszem ostrzeżeniem masońskiem". Tuwim dwukrotnie tkliwie, serdecznie, przebaczająco i obligująco. Bajkopis Benek (Benet) Hertz kordjalnie ale nieufnie. Antoine Słonimski całkiem inaczej, niż teraz i to nieraz:

„Panu Adolfowi Nowaczyńskiemu w dowód szczerej sympatji i żywiołowej, gorącej miłości dla jego dowcipu z głębokim, pokornym ukłonem" (15. I. 1925)... „W dowód miłości, zazdrości i zawiści" („Wycieczki osobiste")... „W dowód poważania i głębokiej sympatji skromny czeladnik w prozie" („Teatr w więzieniu", 1921. 8. X.). Tak bywało atramentem i własnoręcznie. Potem drukiem „Rudy do budy!" i t. p.

. Od Skiwskiego raz ale wcale sympatycznie.

RYMEM I RYTMEM

Od Lechonia cztery razy i zawsze s u m m a c u m l a u d e. Na „Karmazynowym Poemacie" (25. I. 1920): „Ojcu memu w pamflecie, niezrównanemu i kochanemu. z pamięcią o wspólnie spędzonych wieczorach z największą sympatją".. Na „Rzeczpospolitej Babińskiej" autor zawsze przepięknego „Mochnackiego" wystąpił z wierszem:

„Kiedy przeminie dzisiaj i ludzie [przeminą
Przeciw którym harcujesz w satyrycznej furji,
Jak dziś w pierwszej powiedzą, jutro w piątej kurji
A jednak to był właśnie polski Aretino!
Więc choć pulchne Endecji nie nęcą mnie wdzięki,
Chociaż w wieczną głupotę strzelam z innej strony,
Wiem, że nie wiesz, co czynisz, bo jesteś natchniony,
Ja zaś jestem w pamflecie Twój syn z lewej ręki"...

Rymem i rytmem komponowali mi dedykacje jeszcze i inni, jak z nieżyjących E. Słoński, Or-Ot, Lieder, Orkan. Różycki, z dzisiejszych współczesnych J. Jankowski, no a przedewszystkiem nasz kochany Kornel, który choć dużo naznosił się kaprysów i chimer i przemian od „polskiego Aretina"... zawsze niesfornego O u t s i d e r a obdarzał najprzyjemniejszemi dedykacjami w wysokiej temperaturze uczuciowej, podobnemi do efuzji nieboszczyka Micińskiego. Najpiękniejsza na egzemplarzu niedocenionej nadal „Pieśni o Ojczyźnie" (23 Lutego 1924):

Niech to co dusza wymyśliła blada,
Co urodziła cicha gorycz serca,
Przyjmie mój drogi, mój najmilszy Ada,
Walczącej Polski towarzysz pancerny,
Niecnych żywotów genjalny szyderca,
Dla pysznych pyszny, a dla wiernych wierny".

NIEŚMIERTELNI

Teraz przechodzimy do Kolegów Nieśmiertenych, czyli do Akademików.

Pierwsza idzie oczywiście pani Zosia, zawsze ta sama, szlachetna bojowniczka, równa, spokojna, harmonijna, wyrozumiała, nie „potępiająca" za ideowe rozejście się, koleżanka jeszcze z Dawidowego „Głosu". Z dwóch dedykacyj niezapomniana na egzemplarzu „Księcia" (22. XI. 1906) z dodatkiem: „w podzięce za opiekę w Krakowie i protekcję w Abbazji"...

Potem Boy z kilkoma z dawnych czasów: „Przyjm drogi Ado w serdecznym uścisku" („Gdy się człowiek robi starszy") z „serdeczną przyjaźnią", „z gorącym uściskiem", „Kochanej Adzie Boy kładzie", zawsze lakonicznie, krótko ale mile i ciepło...

Pieter na egzemplarzu czarującej „Młodość, Miłość, Awantura":

„Drogi Ado w roku 25-lecia Twej wspaniałej pracy literackiej przesyłam Ci tę książeczkę z nieśmiałością wielką, ale ściskam Cię za to z odwagą i serdecznością szczerą".

Od Berenta bywało rozmaicie. „Na Próchnie" ekstatycznie. Na „Oziminie": „z serdecznem wspomnieniem przyjaźni monachijskiej w podzięce za życzliwą pamięć o niej" (Grudzień 1910). Na „Żywych Kamieniach" już znacznie chłodniej: „w dobrem przypomnieniu dawnej zażyłości" (1918)...

Od Irzyka na „Pałubie" w dedykacji fanatyczny entuzjazm. Potem ochłodzenie i kostyczności. Na „Walce o treść" krótko: „w przyjaźni, bez sojuszu" (18. 8. 1929). Na „Benjaminku" (1933): „Niedobitkowi Młodej Polski niedobitek Irzykowski"...

Rostworowskiego nie będzie się teraz przytaczało. To już w spadku pozostanie dla przyszłych polonistów. Nadmienić tylko się godzi, że tak w listach, jak i w dedykacjach tego niepospolitego i po Wyspiańskim pierwszego dramatysty, jest tyle wzruszającej przyjaźni, współczucia i tyle słów gorącej podniety i zachęty, że często w chwilach przełomowych, w zwątpieniu i piekielnej depresji, z nich czerpało się moc moralną i wiarę w niejako omal... posłannictwo.

VANITAS VANITATUM...

Tak samo zresztą w samych początkach zawodu literackiego z gorących słów Orzeszkowej, Wyspiańskiego, Brzozowskiego, a w późniejszych latach powojennych z Świętochowskiego, Żeromskiego, Reymonta, Weyssenhoffa. Gdyby się te wszystkie dedykacje brało całkiem serjo nie tylko jako wyrazy kurtuazji i przyjaźni osobistej, możnaby zgniótłszy swój i n f e r i o r i t y c o m p l e x nagle zacząć się uważać także za jakąś figurę czy firmę nietylko gazeciarską, nietylko nadwiślańską i nietylko sezonową.

Już lat temu trzydzieści...: „Autorowi najcudowniejszej „Bajki o księżniczce i karle" w hołdzie Stefan Żeromski". Po kilku premjerach „sztuczek historycznych" to samo słowo „hołd" powtarza się u laureata Nobla i u innych... laureatów państwowych i stołecznych. Każdemu innemu zdaje się „poszłyby do łba" i zakręciły w głowie" te panegiryczności, te superlatywy i te często tkliwe a przeważnie szczere serdeczności; niejaki Kaden, chybaby nadęty pękł albo zwarjował... -

Temu tutaj nic a nic. Przegląda sobie swój „G o l d e n B o o k o f D e d i c a t i o n s" spokojnie, z wyrozumiałością, nie bez lekkiego sceptycyzmu i nie bez melancholji. V a n i t a s v a n i t a t u m e t o m n i a v a n i t a s. Trochę tam pokarmu (pożywki) dla próżności czy ambicji ma się z tej wielkiej kolekcji autografów, no i tyle twego. Czasami tylko człowiek trochę się tak dziwi...

Czemu się dziwi? Temu się dziwi, że go niema. Niema go w literaturze bieżącej. Wykreślony, czy też żywcem pogrzebany i zakopany, czy jak tam, do wszystkich czortów. Usunęli starszego zawalidrogę v i r i b u s u n i t i s. Ani żadnej nagrody, ani laurki, ani orderu, ani ordynansa, tylko same ordynarności, obelgi, i wyzwiska, a bywało, że i napady cztery jeden po drugim. Tych dedykantów wzięli do tej Akademji, tamtym subsydja, tamtych zagranicę. posadki, obsadki, kadzidła, zawsze ktoś gdzieś komuś coś, a tobie nigdy nigdzie nic. Cierpliwości czasem brak, tak się pętać i borykać i potykać. No i następnie: Komu tu teraz wierzyć i ufać? Gdzie prawda? Jeżeli niema cię bracie ani w nowych podręcznikach, ani w nowych literaturach, ani na kartkach pocztowych, ani na repertuarzyku. ani w bibljotekach, ani w spisach i rejestrach, ani żadnej premji nigdy no i wogóle jednego dobrego słowa, no to znaczy się, że n i e m a, nie istnieje n o n e t i s t a t, a b s e n s, k a p u t, m o r t u u s, może żywy, ale nieboszczyk. A tymczasem znowu właściwie jest, bo przecież trzyma w ręce T h e G o l d e n B o o k o f D e d i c a t i o n s i wertuje listy i inskrypcje intelektualnej elity sarmackiej od lat trzydziestu, bez różnicy płci, rasy, wieku i urzędu z dzisiejszymi Nieśmiertelnikami wiecznie, coprawda bez ...Leśmiana.

PAL WAS LICHO!

Widocznie tedy, że w międzyczasie, jak to mówią, coś zaszło. Może się komuś chyba naraził? No ale czy ten taki Aretino też się nie narażał? a Wolter? a Daudet teraz się nie naraża...., a jednak z nimi jakoś nie tak, tylko całkiem inaczej.

Ano pal Was licho! Trzeba przetrzymać i nie tracić fasonu i fantazji. Tylko teraz należy sobie częściej zaglądać do tego lamusa z dedykacjami i trochę się tak tem jakby narkotyzować, czy oszałamiać,, bo wtedy łatwiej przyjdzie znieść sobacze sabotażnictwo dzisiejszości. No i narodowi trzeba to raz oskarżyć, opowiedzieć szczegółowo, jaka to „krzywda" się dzieje uciskanej niewinności i pochwalić się przy okazji jak to inaczej niby bywało, i l l o t e m p o r e, gdy myśmy to jest panowie byli górą a bebebatjary doliną. Niech naród wie co i jak i niech się ujmie względnie wstawi w położenie jak to mówią, bez wyjścia, niech naród zabierze czy poprosi o głos, niech naród ingeruje, niech naród się w to wmiesza i wtrąci i może coś gdzieś w czemś jednak, bo przecież tak dalej jakoś nie wypada i nie uchodzi i człowiekowi samemu poprostu wstyd, że tyle draństwa, autentycznego wysokowalutowego, stuprocentowego draństwa i t. p. dookoła. No a jak to potem pogodzić z takiemi, z takiemi dedykacjami? Albo bowiem tych k i l k a s e t dedykacyj przez lat trzydzieści nie mówiło prawdy i wtedy wszystko jest tak jak być powinno, w porządeczku, albo:

dedykacje miały racje

i wtedy za dużo wobec tego jest świ....a i łaj....ctwa i nieprawości i tym podobnych (prywaty, korupcji, mściwości, serwilizmu, tchórzostwa, strachu). No ale wtedy jak tu uda się wytrzymać, jak dożyć późnej starości, sędziwego wieku, fortuny, dobrobytu, jubileuszu, pomnika i t. p.? Oto jest pytanie! T e r t i u m n o n d a t u r... F o r t u n a V a r i a b i l i s... S a p i e n t i s a t. Amen! Stop!

W najbliższych numerach „ABC literacko-artystycznego" ukażą się następujące utwory i artykuły: Antoniego Godziemby Wysockiego „Gabrjela Zapolska", Marji L. Krüger „Oddam dziecko na własność", Marjana Reutta „Mit XX-go wieku", „Bronisława Komierowskiego „Ja wyzwolone", Stanisława Piaseckiego „Wspomnienia szlacheckie" i in.

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Wiedza i życie

— ...jednem słowem wszystko co nas otacza, czyli cała ta, tak zwana materja jest w gruncie rzeczy absurdem, złudzeniem i fikcją. Bardzo łatwo to udowodnić. Weźmy taką np. szafę czy stół z leżącemi na nim papierami. Czy też poprostu to oto łóżko z pościelą. Otóż te napozór dostrzegalne i namacalne sprzęty, są przecież niczem innem jak tylko skupieniami pewnych ładunków energji.

Cząsteczki drzewa, z którego te rzeczy są zrobione, składają się jak wiemy z węgla, wodoru i tlenu CHO. Tlen i wodór to lekkie gazy (wodór 14 razy lżejszy od powietrza), które zresztą równie jak węgiel dzielą się na atomy. Atom, jak to państwo już wiecie z poprzednich wykładów, składa się z zespołu elektronów, protonów i neutronów, które są poprostu elektrycznemi ładunkami energji, albo jeżeli wolicie, energicznemi ładunkami elektryczności, czego oczywiście już ani dostrzec ani dotknąć nie sposób. Jeżeli jeszcze nadmienię, że wszystko to odbywa się w przestrzeni, która nie ma granic i w czasie, który także jest względny, wówczas łatwo państwo zrozumiecie, że łóżko z pościelą i szafa, i stół, i te leżące na nim papierki, że wszystko to w gruncie rzeczy jest wielkiem zerem i złudą nawet razem z nami.

— A jednak ciekawe, co? (bierze ze stołu papierek). Taka wielka szafa i taki mały papierek, a razem nic, ha! śmieszne, że na takim papierku istoty będące tylko węglem, tlenem i wodorem, ośmielają się coś wogóle pisać, ha! ha! piszą na ładunkach elektryczności.

— Cóż to?

Prelegent nakłada okulary i czyta:

VII-y Urząd Skarbowy. Tytuł wykonawczy (wykaz zaległości):

Dochod. osob. 1933 260 zł.
Kryzys. dod. 1933 18 zł.
Grzywna 1933 20 zł.

Protokół o zajęciu majątku ruchomego, wyżej wymienionego i niżej podpisanego, zobowiązanego wskutek nieuregulowania należności.

Wyszczególnienie zajętych ruchomości:

(Ilość, jednostka, wartość szacunkowa):

Szafa (antyk) — 35 zł.

Łóżko (jesion) wraz z pościelą — 40 zł.

Stół z dwiema szufladami — 25 zł.

Doręczono organowi egzekucyjnemu z poleceniem wykonania zwózki dn. . . . o g. 12-ej.

Prelegent spogląda trwożnie na zegarek i kończy zdławionym głosem.

— Bardzo panów przepraszam, o 12-ej będę miał „zajęcie“, jestem zmuszony odłożyć wykład. to sprawa poważniejsza, niż mi się w pierwszej chwili zdawało.

Skąd Litwini wracali?

Wracali z „Szopki Politycznej“ i zaśmiewali się z dowcipnych tekstów i świetnych piosenek w wykonaniu Andrzeja Boguckiego i Tadeusza Frenkla!

Monsieur Sans Gêne



Wydalenie Jaracza z Z. A. S. P-u.
Rys. Z. Jurkowski.

Cherchez la femme

W jednym z ostatnich numerów „Wiadomości Literackich“ można było przeczytać następujący wiersz Elżbiety Szemplińskiej p. t. „Cały artyzm“:

„Wkońcu — a może od początku — staje się to zupełnie naturalne. Piszę wiersze jak kto inny wyje, klnie, albo warczy. Pies naprzykład — wpełza pod łóżko. Ja się śmieję, rozmawiam, tańczę — We mnie sto psów przeklętych na łbie staje z radości, czy tam — rozpaczy. Niekiedy na świstku notuję ich zgiełk opętany, zwierzęcy gwar — i cała sztuka. Cały artyzm. I wiersz powstaje tak“.

A jednak taki wiersz, to żadna sztuka i żaden artyzm. Szkoda, że świetna prozaiczka i zdolna poetka drukuje po pismach takie brzydactwa! Poprostu przyzwyczaja nas do tego, że gdy w piśmie czytamy coś bardzo złego, wołamy: „Cherchez la femme!“. Szkoda, że Elżbieta Szemplińska zaczyna zaliczać się do szeregu pań piszących, które już zanadto denerwują czytelników swemi utworami. Czyż nie lepiej drukować tylko dobre wiersze, lecz nie takie, o których można powiedzieć, że gdy poetka

„Pisze wiersze, to kto inny wyje,
Klnie
Albo warczy.
Pies naprzykład —
Wpełza pod łóżko.
Sto psów przeklętych
Na łbie staje z rozpaczy“.

Nie wątpimy, że są to psy Grydzewskiego, oburzone na swego pana za to, że zamieszcza w swym organie takie rzeczy.

Tajemnice poliszynela

Podobno nowomianowany prezes Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce ma zostać wkrótce także i prezesem Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej wśród obcych.

Niech się obcy martwią!

*

Sięgnijmy teraz do czasów zamierzchłych. Do tych czasów, kiedy to mały Antoś Sło...ski nie przeczuwał jeszcze, że zostanie „enfant terrible“ Warszawy, że co tydzień olśniewać będzie stolicę ciętemi i zawsze dowcipnemi kronikami.

Właśnie ojciec małego Antosia, znany lekarz warszawski, prowadzi synka do kościoła. Sam przyjął niedawno chrzest, teraz chce, aby i jego pociecha przeszła przez ten obrządek.

W kościele wszystko odbywa się normalnie — mały Antoś został chrześcijaninem. Właśnie wychodzi z ojcem z kościoła.

Antoś, jak zawsze pełen temperamentu, nudzi się przy boku ojca, który trzyma go za rękę, nie pozwalając mu odejść ani na krok. Wchodzą tak do ogrodu Saskiego. Malec wyrywa się do zabawy. Jego towarzysze biegając po parku, wzywają go do siebie. Ojciec go nie puszcza. Antoś jest zrozpaczony. Prosi, żeby puścić go na chwilę, przecież zawsze dotychczas mógł się bawić dowoli bez opieki starszych. Ojciec ciągle jednak jest nieugięty.

Dochodzi do ostrej sceny. Chłopak zaczyna płakać, krzyczeć i wściekać się. W tym momencie nadchodzi pewien stary znajomy lekarza. Widział całą scenę, więc zwraca się do ojca.

— Co to znaczy? Dlaczego nie puścisz go choć na chwilę? Przecież nic mu się nie stanie, jeśli nie będziesz go trzymał ciągle za rękę...

— Nie mogę go zostawiać samopas, tak jak przedtem. Tyle się ostatnio słyszy o mordach rytualnych, popełnianych na chrześcijańskich dzieciach...

*

W związku z ostatnią powodzią orderów i odznaczeń opowiadają o przygodzie pewnego popularnego wojskowego, znanego z zamiłowania do obnoszenia swych niezwykle licznych oznak przy każdej okazji.

Pewnego ranka ów wojskowy wyjeżdżał z domu na reprezentacyjne polowanie. Zbudzony wcześnie przez służącego, kazał mu natychmiast przygotować ubranie, a przedewszystkiem całą kolekcję orderów.

Naprożno jednak służący szukał po całem mieszkaniu odznaczeń swego pana. Przepadły, jak kamień w wodę. Przetrząsnął wszystkie szafy, zakamarki, całe mieszkanie. Wszystko bezowocnie. Oficer szalał z gniewu. I on nie pamiętał, gdzie podziały się ordery, z któremi się nie rozstawał. Zrezygnowany zaczął się wkońcu zbierać do wyjścia bez dekoracji.

Już opuszczał mieszkanie, gdy dogonił go służący z pękiem orderów w obu garściach.

— Znalazły się! — krzyknął. — Wszystkie były przyczepione do nocnej koszuli pana pułkownika!

Z nowej encyklopedji

kartel — brydżysta
szablon — ułan
futerał — przechowalnia futer
odważnik — bohater
zawalidroga — ktoś, kto zawalał drogę.
kamienicznik — mineralog
całun — amant filmowy
sybaryta — syta ryba
grzechotka — mała grzesznica
pośladek — detektyw, chodzący po śladach.

Janusz Minkiewicz

Aktualja

Jakoś nasze czynniki miarodajne nie mają zaufania do swoich rodaków, ba, nawet do najbliższych swych popleczników, nie mówiąc już o zupełnem lekceważeniu własnej, usłużnej prasy. Zawsze tak było, że najciekawsze oświadczenia, wywiady, poglądy czynnika decydującego publikowane były najpierw przez dziennikarzy zagranicznych. Już się tak utarło, że najwięcej mający obecnie w Polsce do powiedzenia głos — milczy latami, a jeśli się już odezwie to raczej do przybysza z dalekich stron, niż do jakiegobądź członka „narodu idjotów“.

Idąc śladem najwyższym, także i M. S. Z. milczy od dłuższego czasu, taksamo nie darzy zaufaniem własnej i wiernej prasy i otacza się najzupełniejszą tajemniczością. Wszystkie nasze posunięcia dyplomatyczne są nagłe i niespodziewane. Dowiadujemy się o nich w ostatniej chwili z telegramów zagranicznych.

Metoda ta zdaje się być wprowadzona na stałe. Z Londynu doniosły niedawno depesze o nominacji naszego nowego ambasadora przy dworze króla Jerzego. Z Genewy poinformowano nas, że ambasador Raczyński zostaje jednocześnie stałym delegatem rządu przy Lidze Narodów.

Oczekujemy dalszych wiadomości. Podobno skolei inne urzędy i magistratury pójść mają śladem M. S. Z. Bo poców informować o ważnych posunięciach domorosłych pismaków? To przecież większa klasa, gdy o lokalnych wydarzeniach wewnętrznych donosi zagranica!

Już niedługo zniknie ze szpalt naszych dzienników stała dotychczas rubryka „życie polityczne“. Jeśli polityka informacyjna M. S. Z.-etu znajdzie naśladowców, to o wszystkich zmianach zachodzących w kraju, będziemy się dowiadywać z telegramów. Sądze, że już niedługo oczekiwać należy zorganizowania służby informującej Polskę z zagranicy o wypadkach, które miały miejsce w... Polsce.

Oto jak będzie wyglądać dział telegramów zagranicznych przeciętnego dziennika:

Kanzas City 18-go listopada (P. A. T.). — W tutejszym organie republikańskim „Morning News“ dziennikarz amerykański John Schmondack ogłasza wywiad z polskim Ministrem Spraw Zagranicznych. Wywiad ten, którego pełny tekst podajemy na innem miejscu, jest rodzajem exposé ministra i spełnia żądania tych wszystkich, którzy domagali się oficjalnego wystąpienia pana ministra z programem na sesji sejmowej.

Ankara. 18-go listopada (tel. wł.). — Tutejsze dzienniki donoszą, że były kilkakrotny polski premjer Barthell znowu przyjechał ze Lwowa do Warszawy. Z komentarzy prasowych do tej wiadomości wynika, iż przyjazd ten pozostaje w ścisłym związku z jego projektami politycznemi.

Teheran, 18-go listopada (Iskra). — W dniu wczorajszym prezydent m. st. Warszawy mianował majora Szczęk-Cznabla zastępcą dyrektora wydziału oświaty i kultury w magistracie warszawskim.

Rio de Janeiro, 18-go listopada (P.A.T.). — Z Chili komunikują: Polski Minister Skarbu złożył wczoraj w Warszawie na ręce premjera prośbę o dymisję. Szczegółów narazie brak.

Z wyspy Borneo donosi nasz specjalny wysłannik: — Przybyłem tutaj, gdyż podobno na wyspie Borneo znają powody ustąpienia polskiego ministra finansów. Niestety, nie udało mi się wydobyć od tutejszych dziennikarzy żadnych nowych wiadomości.

Kabul (kablem od własnego korespondenta). Urzędowo komunikują: Wszelkie pogłoski o rzekomem ustąpieniu polskiego ministra finansów okazały się z palca wyssanemi plotkami.

Z dżungli reklamy filmowej

Deszcz superlatywów
czyli
Sandacz ma zaszczyt przedstawić...

Jeżeli się czyta reklamę filmowa, lub jeśli, co gorsza, zwraca się na nią uwagę, to dochodzi się do wniosku, że niema na świecie filmów złych, nudnych i nieciekawych, wszystkie natomiast są **doskonałe, olśniewające, rewelacyjne,** przynajmniej te, które się jeszcze nie ukazały. Bo o każdym filmie, co znajduje się „na składzie“, a który nie został jeszcze zakontraktowany pisze się, że jest **światową rewelacją, przewrotem w dziedzinie kinematografji, najpotężniejszem i najkapitalniejszem arcydziełem mistrza reżyserów, najciekawszym i najweselszym filmem sezonu** (szkoda, że nie całego stulecia), **o którym mówią wszyscy** (nawet głuchoniemi), **zapierającym dech w piersiach ewenementem twórczości kinematograficznej, miljonowym filmem dla miljonów, epopeą nieśmiertelną** (bez epopei obejść się nie może), **najdowcipniejszą i pełną humoru, werwy i pikanterji komedją wszystkich czasów, triumfem kinematografji europejskiej, filmem, który wstrząsnął sumieniem świata** *), słowem: kiniarzu weź mnie, a zrobisz kokosowy interes!

Gdy film jest już zakontraktowany (ferfałt die klaczkes) rozpoczyna się nagonka na widza. O filmie zaczynają wówczas pisać, że jest **tęczobarwną symfonją piękna i artyzmu,** że posiada **superarcyciekawy scenarjusz,** że występujący w nim artyści **nigdy jeszcze nie grali tak, jak właśnie w tym filmie,** że film jest **klejnotem, mieniącym się wszystkimi blaskami wartościowości** — słowem — widzu przyjdź, a upoimy cię nadziemskim haszyszem.

I tak wciąż dookoła Wojtek. Nietylko wtedy, gdy jest mowa o jakimś naprawdę wyjątkowym filmie, lecz wówczas nawet, kiedy chodzi o zwyczajną szmirę. Szefowie reklamy bez przerwy suszą i tak już suche jak słoma mózgi, i każdy film bez względu na jego wartość istotną przyozdabiają przepięknemi w ich mniemaniu wianuszkami misternie uplecionemi z najbardziej wyszukanych superlatywów. Gdy się szary człowiek naczyta filmowej reklamy, wydaje mu się, że wszystkie istniejące na świecie filmy to gigantyczne arcydzieła, zaczyna więc się głowić biedaczek — skąd biorą się te liczne kicze, jakie ogląda tak często w kinach?

Stańmy na stanowisku tego szarego człowieka i spójrzmy czem go „ogłuszają“ szefowie reklamy filmowej. Szary człowiek czyta, że film „Jarmark miłości“ **„odznacza się poza arcyciekawym scenarjuszem, bajeczną obsadą, niebywałym kolorytem i doskonałą muzyką“,** że film „Bella donna“ — to — **„Egzotyzm, miłość i namiętny, groźny fanatyzm“,** że obraz „Kobiety w jego życiu“ **„poruszył oba kontyngenty“(sic!)**

To nie może nie „poruszyć“ szarego człowieka i... on idzie do kina. Następnego dnia czyta, że film „Ostatni miljarder“ — to — **„potężne objawienie sztuki filmowej“** czyli **„film, będący owocem najwyższej miary natchnienia twórczego“.**

O komedji „Całuj mnie jeszcze“... dowiaduje się nasz szary człowiek, że jest to — **rapsodja humoru, sentymentu, erotyki i pikanterji“ — „orgje zdrowego śmiechu“ — „wezbrany rozmierną gamą humoru rozkoszny film, który musi na ustach wszystkich wywołać słoneczny uśmiech pogody i radości“.**

A że szary człowiek, zmęczony przez kryzys pragnie z całej duszy „słonecznego uśmiechu pogody i radości“, więc — idzie.

Po pewnym czasie szary człowiek rozmyśla nad talentem nieokreślonej zupy dlaczego np. film „Król niedołęgów“ okazał się takim kiczem?

Przecież pisano o nim, że jest to **„komedja, pulsująca pienistym coctailem humoru, pikanterji i wesela“,** że **„szrapnelowe wybuchy śmiechu są okrasą tego arcywesołego filmu“,** że **„tyle w tym filmie wybuchów śmiechu, ile klatek taśmy“.** (Obliczenie autor pozostawia czytelnikowi).

Następnego dnia czyta szary człowiek, że film „Tańcząca Venus“ **„zrobił doniosły wyłom w historji dotychczasowej produkcji filmowej“,** że jest **„rewelacją w dziedzinie sztuki kinematograficznej i ukazuje światu nowe zupełnie oblicze X Muzy“.** Że w filmie tym jest **„wszystko, czego tylko pragniemy: miłość, dramat, humor, muzyka, taniec, piosenki i bogactwo wystawy“,** zaś **„dekoracja zmienia się niby w barwnym kolejdoskopie. Przed oczyma zachwyconego widza defilują w takt wspaniałej muzyki tysiące pięknych kobiet w przecudnych kostjumach tak, iż odnosi się wrażenie, że nie film oglądamy, a jakieś bajkowe wprost zjawisko“,** że „Tańcząca Venus“ jest **„najcudowniejszym kojącym środkiem na wszelkie zgryzoty“.**

Co więc ma robić szary człowiek? — Podrapie się za uchem i... znowu idzie.

Wkrótce potem dowiaduje się z reklamy, że „Viva Villa“ — **„jest dla oka, ucha i uczucia najwyższą rozkoszą, każe szybciej bić sercu wzruszonemu głęboko losami wspaniałego okrutnika o gołębiem sercu“,** o filmie zaś „Królowa Krystyna“ ta sama reklama głosi, że — **„jest to film tak piękny, jak śpiew Caruza, czy rzeźba Michała Anioła!“.**

Ledwo się z tem szary człowiek upora, a już czyha na niego **„wielka transcedentalna i wszechwymiarowa premjera ultraniesamowitego przeboju Paramountu“ — „Śmierć odpoczywa“.** Więc idzie.

Córeczka zaś szarego człowieka, która chodzi do siódmej klasy gimnazjum, ma zabrudzone atramentem palce i fotografję Brodzisza w teczce, czyta: — **„Weismüller, jako bohater filmowy jest najczystszym symbolem dążenia do wolności życia i kochania w ten sposób, o jakim marzą ludzie od zarania dziejów“.**

— Ciekawe, co to za sposób?— myśli córka szarego człowieka i czyta w innem miejscu o filmie „W twoich ramionach“ — **„Jego miłość była, jak słodka przynęta — jego pocałunki, jak płonący żar! — Zobacz najcudowniejszy film erotyczny „W twoich ramionach“, a poznasz, co znaczy miłość!“.**

Ponieważ córka szarego człowieka, która chodzi do siódmej klasy gimnazjum, ma zabronione... itd. (jak wyżej) — chce za wszelką cenę poznać, co znaczy miłość, więc idzie.

W TEN OTO SPOSÓB LUDZIE CHODZĄ DO KINA.

Sandacz...

*) Wszystkie cytaty z autentycznych reklam filmowych.

Pójdźcie o dziatki, pójdźcie wszystkie razem

na „Szopkę Polityczną“ Światopełka Karpińskiego i Janusza Minkiewicza w sali teatru „Nowa Komedja“ Karowa 18. Codziennie dwa przedstawienia o godz. 7.30 i o 9.45. Od wczoraj szereg nowych, zaktualizowanych tekstów.

Repertuar filmowy

EUROPA: „Kiedy znowu wojna“? Ina **Benito,** Janette **MacDonald,** Sandra **Litwinoff** i Clark **Goebels.** Dodatek PAT-a wyjazd ministra Becka, pożegnanie na dworcu.

COLOSSEUM małe: „Parada Rezerwistów“ urocza Betty **Beck** i przekwitająca **Brygada** Helm.

Dodatek PAT-a przyjazd ministra Becka, powitanie na dworcu.

MIEJSKI: „Chłopiec z placów Broni“ w roli głównej i jedynej niesamowity Conrad **Vittig.**

UCIECHA: „Przedmieście“ z arcypociesznym **Włastem** Burjanem oraz dawno niewidzianą Marjanną **He Marr.** Nadprogram „Wielka Rewja“ oraz w dodatku PAT-a: Wyjazd ministra Becka, pożegnanie na dworcu.

FAMA: „Ich noce“. Z czarującą Olgą **Migową** oraz uwodzicielską Clive **Brucz.** W dodatku PAT-a: Przyjazd ministra Becka, powitanie na dworcu.

TON: „Gdy kamienie przemówią“ potężny dramat mówiony w kilku serjach (vox mauvais ton news) z Wallace **Berent** i **Mirjam** Hopkins. W dodatku PAT-a wyjazd ministra Becka, pożegnanie na dworcu.

GLORJA: „I cóż dalej, nudny człowieku“ fascynujący Denny **Kaden** z nieznaną dotychczas **Bigdą** Helm.